Rok I. Kraków, dnia 5 Października 1882 r. Nr. 13.

# PRZEGLĄD
## LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

**PRENUMERATA.**
W Krakowie: rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.
Z przesyłką w Austryi: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.
W Wielkopolsce: z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

*Główny współpracownik* K. Bartoszewicz.
*Wydawca i redaktor odpowiedzialny* Jan Blaschke.
*Adres Redakcji i administracji:*
K. Bartoszewicz w Krakowie
*Rynek, Hotel Drezdeński.*

*Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.*
*Rękopisma nie zwracają się.*
*Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.*
*Cena pojedynczego numeru 30 cnt.*

# PO DZIESIĘCIU LATACH.

NOWELLA
**Walerji Marrené.**

(Ciąg dalszy).

Zatrzymała się przez chwilę wraz z towarzyską, wśród pustej w tej chwili alei, jakby uderzona tym faktem.

— Almawiwa pod mojemi oknami — powtórzyła. Ale to niepodobna. Czy ci się to nie przyśniło, kuzynie?

— Jestem tego pewny.

— Przecież nie ja jedna mieszkam w tym domu — zawołała wreszcie.

Było to najprostsze tłumaczenie — jednak nie trafiło mi do przekonania. Coś mi mówiło, że nie naprożno spotkałem tego człowieka, że on odegra rolę w życiu mojem.

— Możesz sama najlepiej wiedzieć kuzynko, kogo masz w sąsiedztwie.

— Otóż nie, nie wiem wcale — obchodzi mię to tak mało.

Czas jakiś spoglądaliśmy na siebie wzajem, jakby każde z osobna starało się rozwiązać tę zagadkę.

Wtem nagle, zabrała głos ciotka Marta, która dotąd w milczeniu słuchała naszej rozmowy.

— Joasiu kochana, to on, jestem przekonana, że to on.

W tej chwili świat cały wydał mi się czarny jak atrament.

Więc w życiu jej był *on*, on, któremu nawet nie trzeba było dawać wyraźnego nazwiska!

Słowa te jednak nie wywarły na pannie Joannie piorunującego wrażenia, jakiego się spodziewałem.

— To niepodobna ciociu — zaprzeczyła — on taki poważny — on...

Ale ciocia potrząsała głową i nie dała jej dokończyć.

— Młody — niemłody — poważny — to wszystko jedno, kiedy się kocha, a ty wiesz dobrze...

Joanna przerwała jej wymownem spojrzeniem.

— No, no... nie będę już mówić, skoro tego nie chcesz, chociaż doprawdy...

Rozmowa pomiędzy niemi przybierała pozór poufały i tajemniczy; może należało mi się oddalić.

W tej chwili pragnąłem też istotnie samotności.

Czar wiosenny tego pięknego dnia prysnął, zamglił się i czar pamiątek moich. Widok Joanny sprawiał mi nieokreśloną boleść. Skłoniłem się i chciałem ją pożegnać.

Ale kuzynka pochwyciła mię za ramię.

— Jeszcze chwilkę, panie Karolu — zawołała. — Powiedz

## KRONIKA.

*Podróż kronikarza do Lwowa w missji politycznej. Co znaczy siatka w sali sejmowej? Gościnność ks. Edwarda Podolskiego. Ogólne uwagi nad Lwowem, jego życiem i zwyczajami.*

Zaledwie powróciłem z Warzina i wydrukowałem w Przeglądzie sprawozdanie moje z rozmowy z księciem Bismarkiem, otrzymałem wezwanie od marszałka Zyblikiewicza, abym dla dalszego ratowania ojczyzny przybył niezwłocznie do Lwowa. Znającym bliżej moje serdeczne stosunki z panem Mikołajem łatwo będzie zrozumieć, że nie namyślałem się ani chwili i podążyłem do grodu unieśmiertelnionego sławą Nafttuły, «inaczej myślących,» pobytem prof. Jägermana, wierszami Deotymy itd.

Na kolei zastałem oczekujące już na mnie siwki marszałkowskie i deputację «Łączności i Zgody.» Po mówce zaczynającej się od: «Witajcie mi panowie!» a kończącej się wyrazami: «wierzajcie mi, że jedynie dobro kraju mając na oku» etc. etc. — udałem się prosto do sali sejmowej, gdzie różowy bilet otworzył mi podwoje loży dziennikarskiej. Spojrzałem na dół i oczom moim przedstawiła się śmietanka naszej intelligencji, piokratkowana symetrycznie za pomocą zawieszonej siatki drucianej. Siatka ta, jak mnie objaśniono, służy na wypadek, gdyby zentuzjazmowana działalnością sejmujących publiczność chciała rzucić się im w objęcia, bez względu na możność skręcenia karku,—oraz jako obrona posłów przed dowodami sympatji w postaci zgniłych jabłek, jaj i pomarańczy. Inni uważają tę siatkę jako symbol łowienia ryb w mętnej wodzie; inni chcą w niej widzieć tamę dla przeciskającego się z góry światła, w obawie, aby zbytek jasności w głowach sejmujących nie przyniósł krajowi tychże strat, jakich mu przysporzyła już «hiperprodukcja intelligencji.» Są wreszcie zdania, że w sieć tę mają być łowione pożyteczne pomysły i niezależne opinje, aby nie przeszły do wiadomości «ulicy,» nieumiejącej uczcić i poszanować «inaczej myślących.» Ubliżającem zaś uważam przypuszczenie, jakoby gatunek *homo politicus* potrzebował być oddzielony od publiczności takąż siatką, jakiej używają w zoologicznych ogrodach dla innych gatunków ssaków (mammalia).

Bądź co bądź siatka istnieje, a pan marszałek za nią jeszcze sympatyczniej niż zwykle wygląda. Całus jaki mu przesłałem z loży, rozchmurzył jego oblicze, lecz grubo za to zirytował siedzącego obok mnie korespondenta do Gazet: Polskiej i Krakowskiej, który przyzwyczajony zbierać wszystkie okruchy łaski pańskiej, srodze się obruszył na intruza, co bez zginania karku otrzymał w darze ponętny uśmiech marszałka. Zapewniłem tego jegomościa, że przebywam we Lwowie tylko czasowo i że przyjazne usposobienie dla mnie byłego prezydenta Krakowa przeszło już na karty historji,—jak z jednej zatem strony darmo obopólną sympatję zniszczyćby usiłował, tak z drugiej stro-

mi, jak wyglądał człowiek, którego spotkałeś? Jeźli zapytuję o to, wierz mi, mam powody.

— Ha! wyrzekłem z goryczą wybuchającą mimowolnie — nie potrzebujesz pani zapewniać mnie o tem.

Niecierpliwy wyraz przebiegł po jej twarzy, wyraz dawno zapomniany, pieszczonej i psutej jedynaczki.

Była to znowu błyskawica przeszłości. Przed laty dziesięciu ten wyraz tak mnie zachwycał, tak uwydatniał subtelny wdzięk tych myślących, łagodnych a energicznych rysów!..

Więc też wyrzekłem smutnie jak dziecię buntujące się i znów przywiedzione do posłuszeństwa:

— Słucham twoich rozkazów kuzynko.

W tej krótkiej chwili odegraliśmy oboje scenę z dawnych czasów. Uczułem to i krew uderzyła mi do twarzy.

Czyżby i ona przypomniała sobie toż samo co ja. Czyż tajemnica moja nie była dla niej tajemnicą?

Olśniony i wątpiący, zwróciłem wzrok na ciocię Martę. I zdawało mi się, że wyczytałem w jej oczach potwierdzenie tej szalonej nadziei.

Była pomiędzy nami chwila pomięszania i ciszy. Ja nie zaczynałem mówić o nieznajomym, ona nie pytała.

Czas jakiś szliśmy wszystko troje w milczeniu.

Od Wisły powiał wiatr chłodny i panna Joanna lękając się o swoją towarzyszkę zwróciła się ku miastu. Co się działo w jej myśli? Byłbym dał połowę życia, ażeby to wiedzieć, a jednak byłbym prędzej umarł niż zapytał.

Co działo się we mnie? Teraz wiedziałem to wyraźnie. Cała przeszłość odezwała się; iskra przygasła zamieniła się w pożar.

Mógłbym już powtórzyć wiersz poety: «Znów czuję Boga, który mię porywa.»

Szedłem więc obok panny Joanny i gotów byłem iść tak aż na koniec świata, gdy wtem na rogu ulicy spotkaliśmy się oko w oko z nieznajomym. Poznałem go natychmiast po okazałej postaci i wytwornych ruchach, po ciemnym zaroście; poznałem przedewszystkiem po spojrzeniu utkwionem w kobietę, którą kochałem.

Pomiędzy tem spojrzeniem gotów byłem w tej chwili postawić ostrze stali i pierś własną, a zanim to nastąpić mogło, drżałem od fali krwi bijącej mi we wszystkich tętnach.

Nie wiem jak kochają ludzie inni, jakie stawiają sobie prawidła życia. Słyszałem nieraz jak wkoło mnie wyśmiewano miłość — nie wierzono w nią — i miałem to zawsze za rodzaj umysłowego i sercowego niedołęztwa.

Co do mnie, nie mogłem nigdy zaprzeczać temu co sam czułem, ani spierać się z porywami, którym zawdzięczałem najpiękniejsze chwile życia. Nie pozowałem na nic — nie wyrzekałem się niczego. Była to może jedyna moja zasługa.

Człowiek, który teraz stanął na mojej drodze, miał ją także. Nie mogłem go lekceważyć. Wprawdzie był starszym odemnie o lat dziesiątek, ale twarz ogorzała o rysach regularnych, nosiła wyraźnie ślady krzepkości, siły i intelligencji. Był właśnie w wieku, w którym spóźnione nieco namiętności są zwykle gwałtowne i nieubłagane.

Wprawdzie jako człowiek panujący nad sobą i dobrze wychowany, złożył pannie Joannie ukłon wcale różny od tego jakim mnie kiedyś obdarzył, ukłon pełen uszanowania, ale wzrok jaki mu towarzyszył... spojrzenie, jakie padło na mnie...

Od tej chwili miałem wroga — wiedziałem o tem.

Panna Joanna oddała mu ukłon poważna, zamyślona, niezbadana.

Minęliśmy się.

W tej chwili nie byłbym jej odstąpił za nic w świecie. Oprócz upojenia serca, czułem jeszcze jakiś dziecinny tryumf dumy, pokazując się obok niej w jego oczach.

— Czy to był on? szepnęła po kilku minutach panna Joanna ściskając mię za ramię.

Nie mogłem mówić — potwierdziłem skinieniem głowy.

Pochyliła czoło, jakby przed potęgą jakąś ciążącą nad nią i zdwoiła kroku, tak, że ciocia Marta zaledwie zdążyć za nią mogła.

Gdy doszliśmy do tego piętrowego domu, który tak żywo stał mi w pamięci, zatrzymała się dopiero.

— Czy pozwolisz mi kuzynko, odprowadzić cię? — szepnąłem błagalnie.

— I owszem! chodź pan — odparła krótko.

W milczeniu szła naprzód, ja podałem ramię cioci Marcie, aż zatrzymaliśmy się przed pojedynczemi drzwiami na pierwszem piętrze. Joanna zadzwoniła, otworzyła nam wiejska kobieta, której znane rysy znów przed oczy stawiły mi przeszłość.

Była to piastunka Joanny.

W innej chwili byłbym może spotkał ją, nie poznał i minął.

W usposobieniu, w jakiem byłem teraz, wróciła mi do pamięci od razu, nawet imię jakie nosiła. Witałem ją jak dawną znajomą.

---

ny może być pewny, że urzędu narodowego piszczyka jako «obcomiastowiec» pozbawić go nie mam zamiaru.

Po tem wyjaśnieniu przypatrywałem się ciekawie luminarzom naszym, skwapliwie chwytając każde ich słowo. Danem mi było trafić na posiedzenie nadzwyczaj zajmujące, a mianowicie na obrady nad kwestją utworzenia posad protokólisty i archiwisty wydziału rachunkowego, oraz na walkę o to: czy gmina Krępanina ma należeć do sądu w Zaleszczykach, a gmina Dławiduda do sądu w Złoczowie? Z niepokojem przysłuchiwałem się tokowi obrad, które dzięki patrjotycznej a konserwatywnej większości, dzięki wreszcie energji i poświęceniu się marszałka, ukończyły się tryumfem protokólistów i Dławidudzian. Ze smutkiem za to przyjąłem wynik głosowania nad wnioskiem posła Starowiejskiego, żądającym szczególnego zaopiekowania się kraju przemysłem gorzelnianym, jako jedynym przemysłem, jaki na naszym gruncie pomyślnie się rozwija. Ze zgrozą ujrzałem, że oprócz dwunastu hrabiów i jedynastu braci szlachty — nikt więcej nie podniósł ręki, a nawet nasz hrabia profesor podniósł ją nieśmiało. Na 23 głosy zatem tylko, my dbali o dobro kraju konserwatyści, my rozmawiający z Bismarkiem politycy, my koncessjonowani i wyłącznie uprzywilejowani c. k. patryoci, — liczyć możemy. 23ch mężów tylko nie zaparło się przekonań, 23ch mężów nie zerwało z tradycją. Próżną okazała się nadzieja, że dojdziemy do własnej rodzimej krajowej benedyktynki — łańcucka żytniówka dla tych liberałów i fałszywych konserwatystów ma być ostatnim wyrazem naszego przemysłu! Oby nigdy prawdziwa litewska starka nie zrosiła ich warg bezecnych, oby boski koniak nie stał się nigdy nagrodą ich prac i trudów, oby się nigdy nie upili ratafją i w dobrach swych, (jeżeli je mają) nigdy nie widzieli chłopa pijanego!

Zgorszony sejmem, opuściłem go manifestacyjnie a spojrzenie, jakie posłałem z loży dziennikarskiej posłowi Hausnerowi, mogło go przekonać jak jego nihilistyczne intrygi, do których zaliczam i wynik głosowania nad gorzelniami, przejmują mnie wstrętem i pogardą. W celu poparcia przemysłu krajowego udałem się na śniadanie do Małeckiego, gdzie po paru kieliszkach pomarańczówki, kilku łutach kawioru, małym pstrążku i kieliszeczku «crême de Mocca» uspokoiłem się nareszcie i ochłonąłem z oburzenia.

Tymczasem wiadomość o moim przyjeździe rozeszła się po mieście. W hotelu znalazłem karty wizytowe wielu dygnitarzy tak cywilnych jak i wojskowych, oraz zaproszenie na obiad do księdza Edwarda Podolskiego. W salonach tej głównej podpory kościoła zastałem już oczekujących na mnie oprócz gospodarza panów: Gniewosza, Jana Popiela, Tadeusza Romanowicza, Bernarda Kalickiego, Bolesława Czerwieńskiego, prof. Jagermana, księdza Kalinkę i Jana Lama. Przybycie marszałka Zyblikiewicza wraz z drem Zulińskim dało hasło do obiadu. Przy stole wniósł X. Podolski toast na cześć moją, ja na cześć marszałka, marszałek na

— Jak się macie Józefowa! — zawołałem uradowany tą nową twarzą, wychylającą się do mnie z przeszłości.

Wszystkie one zdawały mi się być sprzymierzonemi ze mną, przeciw postaci nowej, której cień padał na nas wszystkich.

Niańka spojrzała na mnie i skłoniła mi się do kolan wiejskim obyczajem. Nie wiem, czy mnie poznała, podniosłem ją i ściskałem za ręce.

Mieszkanie panny Joanny było tak skromne, że graniczyło z ubóstwem niemal; stały tam tylko niezbędne sprzęty, a jednak był jakiś ład i harmonja, które nadawały wdzięk prostym ścianom; było dużo światła, słońca, trochę kwiatów i trochę dawnych pamiątek, cisza wiejska i powietrze wiosenne, co wpadając przez otwarte okna, wzdymało białe, muślinowe firanki.

Pod jednem z okien stał wielki stół, zasłany papierami i książkami; były na nim przybory do pisania.

Wszystko tutaj mówiło o surowej pracy, o życiu twardem, o usilnej walce z losem.

A kiedy przypomniałem sobie stary dwór rodziców Joanny, wypieszczone gniazdko ich jedynaczki, kiedy pomyślałem o przemianie jej losu, przejął mnie głęboki smutek i głębsze jeszcze oburzenie na swiat, że biegł tak niezmordowanie, tak jednostajnie swoją koleją, nie bacząc na indywidualne nieszczęścia, na ludzi, którzy tak obojętnie spoglądali na nią, a nadewszystko na samego siebie, że nie wiedziałem, nie przeczułem, nie zapytałem nawet o nią, przez cały ten lat dziesiątek.

Byłem nikczemnym względem niej i względem własnego serca. Uczułem to teraz dopiero.

Panna Joanna weszła do drugiego pokoju, zkąd wróciła niebawem bez kapelusza i bez okrywki.

Była spokojna i poważna jak zwykle, tylko czarne znamię drżało lekko, niezbadanym dla mnie wyrazem.

Przeszła zwolna przez pokój i oparła się o framugę okna wychodzącego na bezludną ulicę i patrzyła na ten chodnik, gdzie przed kilku tygodniami przechadzaliśmy się z nieznajomym.

Przystąpiłem do niej — byliśmy sami. Zdawało mi się, że odgadywałem wszystko co się w niej działo. Ona musiała czuć się obrażoną śmiałością tego człowieka, który nie umiał uszanować jej spokoju; — zapewne dotkliwiej jeszcze teraz rozumiała sieroctwo i opuszczenie swoje.

Należało mi wystąpić jako jej obrońca, jako rycerż.

— Kuzynko zawołałem — powiedz mi słowo, a przysięgam ci, że on nigdy nie przyjdzie tutaj — nigdy nawet nie spojrzy w twoje okna.

Podniosła na mnie oczy zdziwiona, tak zdziwiona, jakby zrazu nie zrozumiała mego patetycznego wykrzyku.

— Ależ... to mój narzeczony — wyrzekła wreszcie.

Płomień szaleństwa objął mi głowę i przez chwilę nie widziałem, nie słyszałem — nic.

— Twój narzeczony! — wołałem tylko — ty wiesz dobrze, że to być nie może nigdy.

I mówiąc te niepohamowane wyrazy, wyciągnąłem do niej ręce, jak tonący co chwyta się jakiejś deski zbawienia.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

Ale panna Joanna cofnęła się o krok i mierzyła mnie wzrokiem, przed którym ramiona moje opadły bezsilnie.

Nie zdejmowała go ze mnie i czytałem w nim, jak w księdze otwartej: czytałem litość, smutek, współczucie nawet i wszystko — oprócz nadziei.

— Ha! — zawołałem wreszcie — dlaczegoż tak się stało.

Były to najniesprawiedliwsze słowa jakie powiedzieć mogłem. Bo jakimże prawem mogłem mięszać się teraz do jej życia, ja, który przez lat dziesięć zapomniałem o niej zupełnie, ja, który nie zjawiłem się przy niej w dniach niedoli, ja, którego przypadek jedynie znów postawił na jej drodze i który z tego przypadku nawet skorzystać nie umiałem.

— Mówmy spokojnie, mówmy rozsądnie, rzekła i wskazała mi miejsce naprzeciwko siebie. Lecz ja zawołałem popędliwie:

— Nie jestem ani spokojnym, ani rozsądnym.

Wzruszyła ramionami z wyrazem nieokreślonym i powtórzyła:

— Ani spokojnym, ani rozsądnym, ani.....

Zaczęte słowo skonało jej na ustach, lecz je odgadłem.

— Ani sprawiedliwym — pochwyciłem. Dlaczego nie kończysz?

— A więc, tak jest — zawołała, patrząc mi prosto w oczy.

Musiałem spuścić wzrok przed jej spojrzeniem; zdawało mi się, że tam błyskają przepaście, a w tych bezdennych głębiach odnajdywałem wszystkie upojenia młodości, wszystkie zagasłe ognie, które kiedykolwiek paliły się w mojej piersi.

— Panie Karolu — wyrzekła — czy przynajmniej potrafisz być szczerym?

Czułem podstęp w tem zapytaniu.

I oprzytomniałem nagle. Chwila była ważna. Kochałem tę

---

cześć dra Żulińskiego; dalej pan Jagerman pił zdrowie pana Lama, pan Lam zdrowie gospodarza, X. Kalinka zdrowie p. Gniewosza itd. itd. Po wzniosłem «kochajmy się,» wygłoszonem przez p. Romanowicza, przystąpiliśmy do ważnych obrad nad polityką zewnętrzną kraju, ten bowiem a nie inny był cel mego przybycia. Zapadłe uchwały postanowiono okryć tajemnicą, upoważniwszy mnie przytem nietylko do drugiej rozmowy z Bismarkiem, ale nawet do konferowania z Gladstonem, Tołstojem, margrabią Wielopolskim, Andrassym, a nawet z panem Pawłem Popielem.

Spełniwszy swoją misję zabawiłem jeszcze «incognito» parę dni we Lwowie, gdzie kilka ciekawych zrobiłem spostrzeżeń.

Przedewszystkiem zaimponowała mi oszczędność rady miasta. Wyszedłszy wieczorem na ulicę, uderzony zostałem panującą powszechnie ciemnością. Z początku mniemałem, że Lwów dotychczas gazu u siebie nie zaprowadził, ale bliższe spotkanie się głowy mojej z lampą gazową dotykalnie mnie przekonało o fałszywości mego przypuszczenia. Objaśniono mnie wreszcie, że z powodu niezadługo oczekiwanej pełni księżyca, Rada miejska dla oszczędności nie każe oświecać miasta. Nawet w Pacanowie nie spodziewałem się spotkać z podobną logiką i tylko bliskością Lwowa od Mościsk zdołałem wytłumaczyć sobie to ciekawe rozporządzenie. Prawdopobnie bowiem większa część rady lwowskiej pochodzi z tej słynnej jarmarkami końskiemi i przysłowiowemi «fujarami» miejscowości. Wrodzona moralność, będąca nieodłączną zaletą wszelkich «fujar,» nie może obojętnie patrzeć na ludzi wieczorami po ulicach chodzących i chce ich odebraniem światła przymusić do porządnego żywota. Światło wreszcie samo, jako takie, srodze razi obywateli z Mościsk, a nieodłączne również od «fujarostwa» dobre serce czuwa nad ułatwieniem interesu miejscowym złodziejom. Oprócz jednak bliskości Mościsk wpływają zapewne na owo «ociemnianie» ulic lunatycy zasiadający w radzie, albo też mężowie co pod pozorem lunatyzmu chodzą przy blasku księżyca od Naftuły do Stattmüllera, a zawadziwszy o Federowicza zasypiają na łonie «okocimskiego,» zapomniawszy o czekających na nich połowicach. Jaka wreszcie jest przyczyna, taka jest, dość, że w środkowej Europie znajduje się stutysięczne miasto wydające rozporządzenia według zmian księżyca, a więc prawdopodobnie i według «prawdziwego egipskiego sennika,» którego wydanie zawdzięczamy obywatelskiej gorliwości p. Himelblaua.

Zwróciła także uwagę moją we Lwowie czystość demokratycznych zasad, jaką przesiąknięci są obywatele tego grodu. Charakterystycznem jest naprzykład, że kiedy u nas w rozmowie potocznej używamy wyrażenia: «nie mógłbym się zupełnie zgodzić na to, coś pan powiedział» — we Lwowie krócej myśl tę wyrażają słowami: «jesteś pan głupi!;» zamiast: «pan się mylisz,» mówią, «jesteś pan... kwiczoł;» a kiedy całkiem grzecznie chcą komuś dać do zrozumienia, że nie podzielają jego zapatrywań, czynią to za pomocą wyrazów: «jesteś pan bydlę!» Wpra-

kobietę, postanowiłem ją zdobyć na przekór temu nieznanemu rywalowi. Przywołałem wszystkie władze umysłu, ażeby stanąć na wysokości jej spokoju.

— Szczerym — powtórzyłem — to zależy...

Wstrząsnęła głową z rodzajem litosnej pogardy, którą przekonała mię, że są kobiety, z któremi przebiegłość jest najgorszą polityką.

— Będę szczerym — zawołałem.

Patrzyła na mnie przez chwilę, jakby pytanie, które mi popostawić miała zadawało gwałt jakiś marzeniom... chęciom własnym.

Odgadłem o co zapytać chciała i gotowałem się do odpowiedzi.

Ale ona, po chwili, zmieniła zamiar.

— Na co pytać — wyrzekła sama do siebie — alboż nie wiem.

Czułem, że potępiała mnie ostatecznie temi słowy i zapragnąłem się bronić.

— Kuzynko — zawołałem — wysłuchaj mnie przynajmniej; nie jestem tak winnym jak ci się wydaje.

Spojrzała na mnie z wielką łagodnością, ale łagodność ta miała w sobie coś nieubłaganego.

— Któż tu mówi o winie? Nie było jej, niema — wyrzekła miękko.

Widziałem nad sobą jej uśmiech smutny, głęboki, nieokreślony.

— Mówi o niej moje sumienie, mówi moje serce. Czyż dla nich niema przebaczenia — szeptałem.

— Sumienie twoje może być spokojne, Karolu. — Nie miałeś względem mnie obowiązków żadnych. Serce...

(Dokończenie nastąpi.)

## Wieczór nad Morskiem Okiem.

. . . . . Poza mną, z naszego schroniska
Głosy słychać i płomień rubinowy błyska...
Ale ja tam nie patrzę i szmerów nie słyszę,
Zapatrzona w tę ciemność, wsłuchana w tę ciszę,
Co mię takim bezmiarem przestrzeni otacza,
Że o żadną skończoność wzrok mój nie zahacza..
Wiem tylko, że tam kędyś horyzontu stuła
Niebo z ziemią obrączką wiernych ślubów skuła...
Ale mnie — tej obrączki niedojrzeć oczyma:
W dórze, w dole, nademną nic, nic zgoła niéma,
Tylko ciemność, jak dziejów wielka tajemnica!..
Taką w wieczornej dobie bywa ta źrzenica,
Którą Tatry, jak owe mytyczne Cyklopy,
Patrzą od wieków w niebios lazurowe stropy...
Taką bywa, gdy księżyc, mgłami osłonięty,
Nie zanurzy swej srebrnej głowy w jej odmęty,
Gdy gwiazd gromada, burzą strwożona, ucieka.
Gdy się nad nią chmur ciężkich opuści powieka
A noc swym czarnym płaszczem przestworza odzieje—
I niebo, wodę, góry w jedną massę zleje...

O! kto w podobnej chwili stał nad Morskiem Okiem,
Kto się tym niewidzialnym upoił widokiem, —
Ten zrozumiał zetknięcie dwóch ostateczności,
Pojął rozkosz nieczucia i wielkość nicości!..
Pojął, ale nie każdy, bo na to potrzeba,
Aby ten ktoś był sytym ziemskich wrażeń chleba,
By, kusząc się o kruchą szczęścia odrobinę,
Kupił ja krwią serdeczną, odkopał jak minę —
I utracił — a w życia unużony boju,
Nie żądał nic od świata, nic, oprócz spokoju!.

Niech myśl, której zwątpienie nie odjęło skrzydeł,
Rwie się w przyszłość zawodów, nieświadoma sideł..
Niech szuka pierś młodzieńcza i żądna wesela
W świętojańską noc marzeń — cudownego ziela...,
Niech poeta się wspina po wawrzynu wianki,
Niech mędrzec szuka prawdy—kochanek kochanki..
Lecz ty, biedny wędrowcze, co z pragnień odarty, .
Obojętnie przebywasz szlak życia utarty, —
Pójdź tutaj! Tutaj znajdziesz, zagłębiony w cienie
Kwiat paproci, dla smutnych zwany „zapomnienie"!.

Kwiecie dziwny! Tyś groszem niebiańskiej jałmużny
Rzuconym litościwą Opatrzności dłonią
Tym, którym świat nazawsze ma pozostać dłużny
Za skarby uczuć, jakie pośród niego trwonią!..
Tobą stroi pustelnik wnętrze swojej celi,
Z ciebie pogrobne wieńce splatają Anieli —
I czystym duchem kładą na świetlane głowy,
Aby im łatwiej było zacząć żywot nowy!..
Ja teraz zrywam ciebie!.. Tak mi dobrze, błogo...
Gruntu zda się ziemskiego nie czuję pod nogą,
Ujęta w przepaściste przestrzeni ramiona,
Takam w nich strasznie mała, taka znicestwiona,
Tak mię życie nie drażni swych wrażeń szelestem,
Że gotowabym prawie zapytać: czy jestem?..

*Hajota.*

---

wdzie niejednokrotnie zdarzyło mi się tę samą myśl słowem lub pismem wyrazić, ale czyniłem to w tej formie, że dotycząca osoba z miłym uśmiechem przyjmowała komplement i czuła się poniekąd zobowiązaną za słodki sosik, jakim oblałem nieco gorzką potrawę. Otóż we Lwowie są pod tym względem ludzie szczersi, demokratyczniejsi. Teraz też dopiero przyszedłem do przekonania, że wymyślania «Przeglądu Lwowskiego» pochodzą nie ze złego serca, a z nawyczki i czystego demokratyzmu.

Jeżeli o zwyczajach mowa, warto także zanotować, że w jednej z restauracyj lwowskich niema zwyczaju dawania pół porcji beefsztyka dla tej prostej przyczyny, że cała porcja nie przechodzi objętością krakowskiej pół porcji, kosztuje zaś tyleż, co nasza cała. Jest także przyjęty tam zwyczaj liczenia bezwarunkowo 4 centów za bułki przy jedzeniu, choćby obiadujący czuł bułkowstręt i choćby mu nawet jak mnie bułki nie pokazano. I w tem również przebija się myśl demokratyczna: zrównanie wszystkich pod względem płacenia za niezjedzone bułki.

Dostrzegłem dalej niesłychaną grzeczność, jaką Lwów odznacza się w godzinach wieczornych, zwłaszcza pomiędzy 10-tą a 12-tą. Nie było bowiem dnia, aby mnie wracającego o tej porze do hotelu nie zaczepiło kilku przynajmniej jegomościów z ofiarowaniem wszelkich usług, a nawet zaspokojenia potrzeb serca. Tej grzeczności w tak wielkim stopniu nigdzie mi się na całej przestrzeni ziemi naszej spotkać nie zdarzyło, a nawet o ile sobie przypominam za grzeczność taką obchodzą się w niektórych miejscach bardzo niegrzecznie, ot tak nieprzymierzając jak we Lwowie z panem Soroką. a w Krakowie z panem Jahnem, mimo opieki, jaką nad nim rozciągnął Przegląd Tygodniowy.

Więcej ciekawego na razie we Lwowie nic nie zauważyłem. Zapłaciwszy więc rachunek w «Hotel de l'Europe,» w którym to rachunku, jak stało u dołu w uwadze portier nie był «w serwisie liczony,» co zresztą jest rzeczą naturalną, boć portier nie filiżanka, ani spodeczek, aby go do serwisu zaliczać, — poczekałem na *przestanku* (tak) tramwaju, który wbrew napisowi na tablicy jechać nie *przestał*, a tylko *przystanął*, dla zabrania waszego kronikarza na dworzec kolei Karola Ludwika, zkąd pospiesznym «parowozem» przybyłem napowrót w mury Krakowa, ku niepomiernej radości p. Marjana Sokołowskiego. K. B.

## ECHA.

«Koło artystyczno-literackie» krakowskie, na wniosek jednego z członków komitetu, postanowiło dać inicjatywę urządzenia zjazdu literatów, i artystów polskich w Krakowie. Myśl ta znalazła tak przychylne przyjęcie, że życzyć tylko sobie należy, aby «Koło» z odpowiednią energją wprowadziło ją w wykonanie,a za pomyślny rezultat zjazdu prawie ręczyć można.

# USTĘP Z ŻYCIA MICKIEWICZA.

# UWIĘZIENIE I WYROK WYGNANIA.

Napisał

*Dr. Teofil Ziemba.*

(Dokończenie).

Dzwoniono już na mszą w Ostrej Bramie, a pobożny lud litewski klęczał przed cudownym obrazem, gdy młodzi towarzysze rozeszli się po cichu do mieszkań swoich.

Oznaczoną już była godzina wyjazdu, gdy niedługo przedtem przyszedł jeszcze do Mickiewicza Ignacy Chodźko, znany autor «Obrazów litewskich.»

Był on wówczas młodym 28 letnim (ur. 1795 r.) mężczyzną i od niedawna narzeczonym panny Ludwiki M., nieznanej osobiście Mickiewiczowi. — Adamie — rzekł — ty wyjeżdżasz! wiesz, że mam się żenić; zostaw najdroższą twej przyjaźni pamiątkę, kilka wierszy do mej narzeczonej.

Z uśmiechem miłym — (opowiada sam Ignacy Chodźko [1]), a właściwym twarzy jego, w którym piękność a dobroć jego serca i głębsze może natenczas współczucie dla zakochanego się odbijały, usiadł przy stoliku, wziął pióro w rękę i jeszcze raz ten uroczy uśmiech rzucając na narzeczonego:

— Bardzoż ją kochasz? zapytał.

— Ha! odpowiedział Chodźko — tak, jak ty Marją.

Wzrok poety zesmętniał... Wspierając czoło na ręku, rzekł z cichem westchnieniem:

— Tak, tak i tyś poeta!

Po krótkiej chwili oddał oczekującemu kartkę, zawierającą te słowa:

Nieznajomej, dalekiej, nieznany daleki,
Kiedy nas jeszcze dalej losy chcą rozegnać:
Posyłam, by cię razem poznać i pożegnać,
Dwa wyrazy: Witam cię — bądź zdrowa na wieki!
Tak podróżny zbłąkany w alpejskim parowie,
Piosnką chce nudnej drodze przyczynić wesela:
A kiedy niema komu śpiewać serce wdowie,
Śpiewa piosnkę kochance swego przyjaciela;
Lecz nim piosnkę przepędzą echa ku jej stronie,
Może już podróżnego wieczny śnieg pochłonie!

«Dla Ludwiki przyszłej Ch..... pisałem w godzinę przed oddaleniem się z Litwy 1824 r- 8-bra 22» d. [2]) (22 Oktobra).

Nareszcie wybiła oznaczona godzina i nadeszła owa chwila, którą opisał Odyniec w wierszu do Antoniego Góreckiego:

. . . . . Pomnę ja dzień owy,
Gdy go od swoich brano na rozstanie,
Czekały straże, wóz już stał gotowy;
On ze mną poszedł na twe pożegnanie,
Wtedy żal pierwszy dumne serce przemógł:
Widział łzy nasze — i swych ukryć nie mógł.

Potem skoczył raźno w kibitkę, a konie zacięte biczem szybko pobiegły. Chwila ta utkwiła głęboko w duszy Adama, a w kilkanaście miesięcy potem przypomiał ją on sobie, kiedy swój wyjazd z Odessy porównywał z obecnym.

Pamiętam, kiedy młody, z lubej okolicy,
Od przyjaciół kochanych, od mojej dziewicy,
Jechałem i patrzyłem, i pomiędzy drzewy
Słyszałem głosy, chustek widziałem powiewy:
Płakałem.....

Ale czy płakała równocześnie ta, którą on pierwszą ukochał miłością, czy między chustkami, które wówczas powiewały, była i ta, którą i ona zwilżyła łzami?

Nie umiemy napewne powiedzieć, ale z tego co w «Wspomnieniach» swoich mówi *Odyniec* [3]), wypada raczej wnosić, że *ostatni* raz widział się z nią poeta jeszcze w pierwszych dniach lipca 1824 roku.

Do wytłómaczenia tego, co się właśnie w dzień wyjazdu poety mogło dziać w duszy Marji, posłużyć może owa prześliczna

[1]) Teka wileńska. Rok 1858 w artykule: Perjody życia. Dokończenie autobiografji autora obrazów litewskich, str. 216.

[2]) Data według kal. rus., który był w powszechnem użyciu, czego dowodem, że nawet wychodzący wówczas Kuryer litewski wydawano według niego. Mickiewicz listy swe na Litwie i w Rosyi pisane oznaczał według tego kalendarza. Do niego bowiem przywykł jako do urzędowego, według którego zresztą rozpoczynał się rok szkolny. Nawet w listach jest na to dowód. I tak czytamy w Korespondencji tom I. wyd. II. w liście do Fr. Malewskiego: Kowno 24 novembra v. s. — Znaczy to *veteris styli*, nie zaś, jak w wydaniu 4 tejże „Korespondencji" nierozważnie podano 22 novembra vel septembra!!..

[3]) Kronika rodzinna r. 1881, str. 431.

---

Gdyby żadnych innych rezultatów zjazd nie przyniósł jak tylko poznanie się i zbliżenie ludzi jednych zawodów — już to samo zachęcić by mogło do urządzenia go w jak najkrótszym czasie. Młodzi przygarnęliby się do tych, co mają za sobą długie lata życia i zasług, słuchając ich zahartowaliby się w walce; starsi widząc młodą drużynę garnącą się do nich, przypomnieliby sobie dawne czasy i orzeźwili się tą myślą, że mają tylu pełnych zapału następców, co rzucone przez nich ziarna dalej pielęgnować będą i nie pozwolą, aby je wiatr rozniósł po świecie. Ile to dłoni, które wzajemna sympatja jednoczy, uścisnęłoby się po raz pierwszy, — ile drobnych nieporozumień usunęłaby serdeczna i przyjacielska pogawędka.

Ale wnioskodawca urządzenia zjazdu nietylko to jedno miał na celu. Chciał on zjazdowi nadać głębsze znaczenie, podnieść go rorumnie obmyślanym programem obrad. Osobna komisja pracuje nad tem, a ułożywszy główny zarys obrad projektowanego zjazdu, rozeszle go wszędzie, gdzie żyją artyści i literaci polscy, prosząc o uzupełnienie lub poprawki programu.

Już dziś z góry można przewidzieć, że poddaną zostanie pod obrady zjazdu sprawa towarzystwa wzajemnej pomocy literatów i artystów, w odmiennej jednak prawdopodobnie formie niż dotychczasowe projekta. Utworzenie kassy zaliczkowej, mającej udzielać pożyczki potrzebującym, wymagałoby wielkiego kapitału, zachodu, znacznych wydatków i formalności. Zresztą tak literat jak i artysta może korzystać z istniejących finansowych instytucyj, jeżeli odpowiednią posiada gwarancję. Nie ulega zaś wątpliwości, że w dzisiejszych stosunkach tak jeden jak i drugi może znaleźć środki utrzymania, bez udawania się o pomoc materjalną, jeżeli naturalnie posiada choć iskrę talentu i ochotę do pracy. Ale kto mu pomoże, kiedy zapadnie w ciężką i długą chorobę, kto wesprze pozostałą po nim biedną wdowę i dziatki? Otóż w tym kierunku pomocy w razie choroby i wsparcia osieroconych w razie śmierci — należałoby coś postanowić, związać się dobrowolną umową i drobnemi rocznemi składkami utworzyć fundusz, zostający pod opieką i zarządem prawnie i zgodnie wybranym.

Sekcja artystyczna zjazdu powinna znowu poruszyć myśl rzuconą przez Siemiradzkiego urządzania co lat kilka ogólnej wystawy dzieł artystów polskich kolejno w Krakowie, Warszawie, Poznaniu, Lwowie itd.

Sprawy: galerji narodowej, honorarjów autorskich, przedruków, wspólnych wydawnictw literackich i artystycznych, sprawa wreszcie tłomaczeń i własności literackiej — oto obfity materjał do dalszych obrad.

Spodziewać się należy, że komissja wybrana przez komitet «Koła» gruntownie opracuje zarys programu, a dyskusja nad nim, do której materjału dostarczą artykuły dziennikarskie i nadsyłane uwagi — wpłynie na ostateczną redakcję programu.

scena przy końcu III. części Dziadów, kiedy guślarz mówi do kobiety czarno ubranej:

Cóż to? cóż to?.. Patrz, z zachodu,
Tam od Giedymina grodu,
Śród gęstych kłębów zamieci,
Kilkadziesiąt wozów leci!
Wszystkie lecą ku północy,
Lecą ile w koniach mocy.
Widzisz, jeden tam na przedzie
W czarnym stroju...

*Kobieta.*

On!

*Guślarz.*

Tu jedzie.

*Kobieta.*

I znowu nazad zawrócił
I tylko raz okiem rzucił,
Ach raz tylko... jakie oko!

*Guślarz.*

Pierś miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele,
A wszystkie przeszły — aż w duszę.
Śmierć go chyba z ran uleczy.

*Kobieta.*

Kto weń wraził tyle mieczy?

*Guślarz.*

Narodu nieprzyjaciele.

*Kobieta.*

Jednę ranę miał na czole,
Jednę tylko i niewielką,
Zda się być czarną kropelką.

*Guślarz.*

Ta największe sprawia bole:
Jam ją widział, jam ją zbadał;
Tę ranę sam sobie zadał;
Śmierć jej uleczyć nie może.

*Kobieta.*

Ach, ulecz go, wielki Boże!

Było też niewątpliwie tak, jak sobie wyobrażał sam poeta. Marja modliła się i tęskniła za nim długo, żyjąc jak mówi jej brat cioteczny Domejko — z mężem, jak z *przyjacielem, jakoby niezamężna.*

Dopiero po dwóch latach, a może i później, nastąpiła zmiana. Delikatność i miłość, jaką ją pan Wawrzyniec stale otaczał, przestrogi matki, upominania braci, a wreszcie, i może nawet przeważnie, wpływ spowiednika przyczyniły się dotego.

Wkrótce dał jej Pan Bóg piękną jak anioł córkę, a w kilka lat potem syna.

Odtąd p. Marja była wzorową matką i żoną i zajmowała się gorliwie domowem gospodarstwem. A chociaż nie okazywała wesołości, przeciwnie nawet, według świadectwa Domejki, pewną tęsknotę, zawsze jednak odznaczała sie w pożyciu z ludźmi właściwą sobie słodyczą i uprzejmością.

Nie śpiewała już potem owej ruskiej piosenki:

Ne dau mnie boh, kawo ja chatieła,

— tylko jakby dla żartu może dla rozweselenia żony zanucił ją niekiedy pięknym swym głosem, zacny i zawsze wesoły pan Wawrzyniec. Zapewne myśl jej wówczas biegła w ślad za oddalonym poetą, jak niewątpliwie i w owych chwilach, gdy córeczka jej przy jej towarzyszeniu na fortepianie śpiewała jego piosenki ub deklamowała ballady.

Po kilku jeszcze latach, gdy Domejko pisał do bawiącego wówczas w Rzymie Adama, dodała i Marja od siebie kilka wierszy.

Nie znamy tego listu, ale w odpowiedzi nań odpisał poeta Domejce:

. . . Było tam kilka słów Marji. Widok jej ręki tak mnie upoił, że płakałem jak dziecko. Pierwszy to był płacz od pożegnania się z Czeczotem i Zanem. Nie będziemy już nigdy widzieć się ze sobą. Ale powiedz jej, że ona zawsze ma w sercu mojem miejsce, z którego nikt jej nigdy nie usunął i gdzie jej nikt nie zastąpi.» (Koresp. wyd. IV. t. II. str. 151).

Jakże silnem, jak czystem było to pierwsze «*promionkowe*» uczucie, kiedy słowa powyższe pisał poeta w r. 1832, a więc już po poznaniu rodziny Ankwiczów i owej poetycznej Ewuni, z którą się i my spotkamy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

W ogóle cały ten prześliczny romans, który imię Maryli na wieki złączył z nazwiskiem wielkiego poety i niewątpliwie przyczynił się do tego, że z nieśmiertelnych jego pieśni «uplotą wieki ozdobę dla jego skroni,» jest przynajmniej wielce zajmującym w życiu Mickiewicza ustępem, jeżeli nie jest zaiste trudną do wyjaśnienia psychologiczną zagadką.

Kluczem do jej rozwiązania może byłyby własne słowa poety, napisane w 10 lat później w «Panu Tadeuszu:»

Są oświadczenia, nawet bez wyznania
Są obowiązki — nawet bez obowiązania!
Dwa serca, pałające na dwóch krańcach ziemi,
Rozmawiają jak gwiazdy promieńmi drżącemi...
Kto wie! może dlatego ziemia tak do słońca
Dąży, i tak jest zawsze miłą dla miesiąca,
Że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą
Biegną do siebie, — ale zbliżyć się nie mogą!.. [4])

---

Dwa takie wypadki, jak naprzód ta wielka, czysta i do tego nieszczęśliwa miłość — a potem więzienie i wygnanie, co tak chmurnie zakończyło ową prawdziwie «górną» młodość, stanowią wielki w życiu poety i w rozwoju jego talentu przełom.

Pod wpływem pierwszego z tych wypadków był poeta w życiu swem — chorobliwym, aż do szaleństwa rozkochanym młodzieńcem. Wówczas przechodził on takie same cierpienia, takie same łamania się i rozpacze, jak ów Gustaw w IV. części «Dziadów.» Odmalował je też właśnie z tego powodu z taką mocą i prawdą, która nawet tej części poematu nadaje wyższe ogólno ludzkie znaczenie, dlatego, że mniej więcej w życiu każdego człowieka może być okres, w którym gotówby on to samo, co Gustaw, mówić i robić.

Słusznie zresztą powiedział poeta słowa, które się i do niego w szczególności mogą odnosić:

Jedna tylko iskra jest w człowieku
Raz tylko w młodocianym zapala się wieku.
Czasem tę iskrę oko niebianki zapali
Wówczas *trawi się w sobie, świeci sama w sobie,*
Jako lampa w rzymskim grobie.

---

[4]) Marja Putkamerowa umarła na Litwie w r. 1864. Mąż jej zmarł jeszcze w r. 1850. Marja była do końca życia z uwielbieniem dla niego, a po śmierci ze łzami całowała jego nogi.

Zacny zaś jego charakter określił *Odyniec* w wierszu, który czytać można na jego grobie:

Przechodniu stój! bo stoisz nad męża mogiłą,
Co myślą stał na czasu swego wysokości,
Serce jego dla cnoty i dla prawdy biło,
A życie jego pasmem ofiar było,
Służąc ludzkości w Bogu, a Bogu w ludzkości!

Z chwilą uwięzienia skończyła się epoka owego «*trawienia się w sobie*» — skończyła się czwarta część «Dziadów.» Teraz dopiero poeta począł «*dumać o swem przeznaczeniu*» i z chorobliwego Gustawa przeistoczył się w silnego uczuciem Konrada, «ponurego poetę,» który rwie się do czynu, ale w gorączce swej niezdolnym jest do niego.

W ósmej dopiero scenie III. części wskazuje mu *ks. Piotr* jego zadanie:

Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie:
Szukaj męża, co więcej niźli oni umie.
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imię Boże;
Słuchaj co powie...

Poeta jechał teraz istotnie w daleką, nieznajomą drogę, a zobaczymy, czy, w jaki sposób, i kiedy spełnić miała się choćby tylko w jego mniemaniu reszta powyższych słów kiędza *Piotra*.

---

## Z ETNOGRAFJI KRAJOWEJ

przez

*Romana Zawilińskiego.*

(Ciąg dalszy).

---

### III.

W roku 1878 oddał mi prof. Lucjan Malinowski paczkę zadań polskich uczniów klasy V. Gimn. Św. Anny w Krakowie z r. 1872 z tem poleceniem, abym kiedy przy sposobności z materjału w nich zawartego skorzystał. Materjał ten stanowiły opisy zwyczajów i niektórych obrzędów ludowych tych wsi, z których uczniowie owi pochodzili, lub gdzie dłuższy czas przebywali. Niestety, jak pod wielu innymi względami, tak i pod względem oznaczenia miejscowości napotykamy wiele braków, których uczniom klasy V. za wielką wadę brać nie można; wiele ważnych szczegółów uszło również ich uwagi. Nie biorąc więc na się odpowiedzialności, ani za te, ani za wiele innych niedostatków podaję tu in crudo w dwóch grupach zwyczaje przeważnie rolnicze i obrzędy. Pieśni przytoczone zapisuję również bez zmiany, bo gwary ludu wszystkich owych wsi nie znam do tyla, abym się na samowolne zmiany językowe bez fałszowania mógł puszczać. Zainteresowanie tymi okruchami i obudzenie chęci do zbadania i sprostowania przynajmniej podanych rzeczy, jest jedynym tej pracy celem, którego osiągnięcie ułatwią mi sami autorowie zadań, jeżeli zostają w bezpośredniem zetknięciu się z ludem.

---

W okolicy Jaworzna rolnik przygotowawszy na wiosnę zboże do siewu skrapia je święconą wodą, a stanąwszy na polu zanim siać pocznie zrobi krzyż «sztychem» i zasiewa od prawej strony. Kiedy w wielką sobotę dzwonią na «gloria» zwykli wtedy siać kapustę, ale potem nie dotykają się jej, sądząc, żeby się nie udała. Jeżeli w wielki piątek była rosa, zwykli wtedy siać proso, podług przysłowia;

«Kiedy w wielki piątek rosa,
«To siej chłopie dużo prosa.»

Ziemniaki należy sadzić przed nowiem. — W czasie żniwa skrapia rolnik sąsieki na zboże święconą wodą, a przywiózłszy snopki składa jeden dla myszy w przekonaniu, że przez to dobrodziejstwo nie naruszą myszy reszty snopów.

W okolicy Lanckorony rolnik zaprząg nąwszy konie do pługa zanim ruszy z miejsca robi krzyż biczykiem przed nimi a potem zajeżdża przed chatę. Tam czeka nań gospodyni z kropidełkiem i wodą święconą, a pokropiwszy nią gospodarza i konie do trzeciego razu, prosi Boga, aby się mu żadne nie wydarzyło nieszczęście. Stanąwszy na polu wtyka rolnik w pierwszy zagon, który ma orać, krzyżyk z palmy poświęconej w kwietnią niedzielę. Biorąc zboże na siew w wory, wkłada najprzód do każdego z nich nieco święconego ziela i krzyżyk palmowy, który również i w środku zoranej roli przed siewem zatyka.

Kiedy w Olszy pod Krakowem pierwszy raz bydło na paszę wyganiają na wiosnę, kładą miotłę pod próg, a bydło przechodzące przez nią skrapia gospodyni. Czynią to w tym celu, aby czarownica nie odebrała krowom mleka. — Sadząc ziemniaki tarzają się po polu; spodziewają się bowiem, że ziemniaki duże urosną. — Przyszedłszy do żniwa stają rzędem, a «przodek» (tj. przodujący lub przodująca) mówi: «Dejże Panie Jezusie szczęście, moja Najświętsza Panienko, abyśmy mogli dobrze zboże tego roku na chwałę Twoję zebrać.» Na to inni odpowiadają: «Amen mój Jezus kochany.» Zanim zaczną jeść śniadanie klękają i mówią razem «Anioł Pański.» — W wigilją Bożego Narodzenia obwiązują drzewa słomą, na której jedli wieczerzę. «Będziesz róść, nie będziesz róść, bo cię zetnę» — mówi ktoś drugi idący za obwiązującym i uderza obuchem siekiery w słomę na drzewie opasaną. Po wieczerzy w ten dzień robią małe wiązki ze słomy różnych gatunków zboża i przybijają nad stołem. W Nowy Rok zanoszą te wiązki na pole; gdzie mają siać przenicę stawiają wiązkę słomy przenicznej, gdzie żyto żytniej itp. — W ostatni wtorek zapustu, zbierają się w karczmie, tańczą a potem karczmę zamykają, aby dziewczęta nie uciekły. Chwytają potem parobcy jednę z nich i przywięzują jej do pasa kloc drzewa z łańcuchem. Dziewczyna ta musi się okupić przynajmniej pół kwartą wódki, inaczej siada jeden z parobków na klocu i bijąc ją pasem słomianym śpiewa:

«Nie chciałaś za mąż iść
«Musisz teraz przy klocu iść.»

Tym zwyczajem zakończają zapusty.

W okolicy Krzeszowic w dzień Zielonych Świątek obchodzi rolnik do koła zielone zagony i kropi je wodą święconą, polecając opiece Bożej rosnące kłosy. W Boże Ciało obłamuje gałązki drzew, którymi ołtarze podczas procesji były ozdobione i zatyka je na roli, aby ochraniały zboże od burzy i gradu.

Koło Krakowa (gdzie? — nie podano) istnieje zwyczaj, że w wilją Bożego Narodzenia gospodarz idzie z siekierą du sadu i zamierza się na drzewa, które mało albo wcale nie wydają owocu. Czeladź i żona wybiegają i proszą, że drzewa te się poprawią, wtedy gospodarz spuszcza siekierę i drzewo powrósłem obwiązuje. Ze słomy, na której we wilją wieczerzano, robią krzyżyki i zatykają je w Nowy Rok na roli, aby strzegły przed nieurodzajem. W dzień św Marka obchodzą kopce graniczne wioski, i kładąc na nich młodych chłopców, wymierzają im razy, ze słowami: «Pamiętaj chłopce, ze tu stoją kopce!» — W nocy przed św. Janem spędzają bydło z pola i zamykają w oborze, bo by je czarownica mogła zabrać. Aby zaś i podoju mleka nie wzięła, stawiają przed drzwiami obory wypaloną gromnicę.

Mieszkańcy wsi położonych koło Podgórza robią w Wielki Poniedziałek rano przed śpiewem ptaków krzyżyki z palm poświęconych w palmową niedzielę i zatykają je na polach ze wszystkich stron, aby strzegły od gradobicia. Sieją zawsze w dni następujące po święcie lub niedzieli, a jeźliby gospodarz przy siewie pominął jeden zagon, uważa to za znak bliskiej śmierci.

Tamże gospodarze przestrzegają, aby w większe święto, jak Boże Narodzenie, Nowy Rok i Wielkanoc, żaden z domowników podczas obiadu wody nie pił; sądzą bowiem, że w ten sposób ustrzegą zboże od szkody wyrządzanej przez ptaki. Po obiedzie bierze gospodarz zboże i posypuje około domu dla ptaków, poczem powróciwszy klęka z domownikami i dziękuje Bogu za doczekanie tych świąt. Z święconej szynki zachowują kawałek aż do czasu, gdy się zboże do stodół zwozi; rzucają go wtedy na spód sąsieka, aby myszy odstraszyć.

W Świniarowie i Dąbrówce gospodynie w wigilją św. Macieja wsypują nasienie kapusty do naczynia popiołem napełnionego. Jeżeli następny dzień jest mroźny, głowy kapusty będą małe, lecz jędrne; jeżeli dzień pochmurny lub słotny, kapustę dużą gąsienice zjedzą lub wiele jej zgnije. Gdy Wielki Piątek pogodny i ciepły, sądzą, że zboża będą liche. Wyszedłszy gospodarz do siewu, rozbija nogą bryłę ziemi i jeżeli się mu na okruszyny rozleci, wróży sobie plony obfite.

Około Bochni sługi odchodząc na Nowy Rok z dawnej służby, chwytają swych chlebodawców za nogi mówiąc: «Bóg wam zapłać za chleb i wodę i wszelką wygodę.» Gospodynie dają im po kromce chleba, aby się ich chleb zawsze trzymał. Poświęcone w palmową niedzielę gałązki wierzbowe i leszczynowe (kocánki) składają w Wielki Czwartek wieczór w krzyżyki i o świcie w Wielki Piątek wynoszą je na pola z hałasem, co ma oznaczać pochód

Chrystusa z krzyżem na Golgotę. Wodą święconą w Wielką Sobotę kropią pole w drugie Święto Wielkiej Nocy, ogarki zaś z tarni spalonych przy tej ceremonji wkładają pod piérwszą zaoraną na wiosnę skibę, aby chroniły rolę od szkodliwych owadów. W «Wielką Niedzielę» rano obchodzi gospodarz wszystkie budynki i rzuca w każdy kąt nieco soli święconej; potem rozdziela gospodyni «święcone,» dając nawet krowom ze wszystkiego cząstkę. Składając piérwsze snopki do stodoły, gospodarz skrapia podłogę święconą wodą i rzuca na nią nieco ziela poświęconego w dzień Wniebowzięcia N. Marji Panny.

Krając chléb przy wieczerzy w wilią Bożego Narodzenia zostawiają górale (zkąd? — nie podano) piérwszą piętkę aż do wiosny, włożywszy w nią opłatka kawałek. Kiedy piérwszy raz wyjadą w pole orać dają ten chléb («kromkę») zjeść ze sianem wołom, aby dobrze ciągły i nie chorowały. Zwykle przy oraniu zlatują się na rolę kruki; gospodarz je rachuje i jeżeli ich jest do pary wróży sobie zbiory obfite. Przyszedłszy na obiad do domu otrzymuje zapytanie od gospodyni o liczbie kruków; jeżeli ta jest parzystą, modli się gospodyni o ziszczenie wróżby, jeżeli zaś nie, odmawia pięć razy «Ojcze nasz» i «Zdrowaś Marja,» aby się nie spełniła. Gdy pomimo parzystej liczby zboże się nie uda, narzékają na gospodynią, że się źle modliła.

W okolicy Nowotarskiej przestrzega gospodarz tego zwyczaju, aby piérwsze śniadanie w polu na wiosnę zjeść z nakrytą głową, sądząc, że mu wtedy kret roli psuć nie będzie. Kiedy parobek powraca po piérwszym dniu pracy z pola, zaléwa mu dziewczyna wodą oczy, aby nie był ospałym przy koniach. Dla zebrania większej ilości żniwiarzy, urządzają dla zachęty t. z. «tłukę.» Oto od południa gra na polu, gdzie żąć mają, muzyka, złożona zwykle ze skrzypiec, basów i kobzy, a przychodzących gospodarz częstuje wódką. Jeżeli jest noc jasna żną w ten sposób nieraz do północy przy dźwięku muzyki [1]).

(Dalszy ciąg nastąpi).

[1]) „Tłukę“ urządzają i w Brzezinach, w starostwie Ropczyckiem.

---

# Pieśń zwycięzkiej miłości.

## I. TURGIENIEWA.

*Przełożył A. Zenoni Kleczkowski.*

„Wage Du zu irren und zu träumen!“
Schiller.

Dokończenie.

### VIII.

Na drugi dzień Muciusz znikł od rana, a Walerja zawiadomiła męża, że ma zamiar pojechać do sąsiedniego klasztoru, gdzie właśnie mieszkał jej spowiednik stary i poważny zakonnik, do którego miała nieograniczone zaufanie. — Na pytanie Fabiusza odpowiedziała, że życzy sobie spowiedzią ulżyć swojej duszy brzemiennej nadzwyczajnemi wrażeniami ostatnich dni. Spojrzawszy na wybladłą twarz Walerji, słuchając jej przytłumionego głosu, Fabjusz sam zalecił jej ten zamiar: świętobliwy ojciec Lorenzo mógł jej przyjść w pomoc z jakąś dobrą radą, rozwiać jej wątpliwości. Pod opieką czterech przewodników Walerja udała się do klasztoru. Fabiusz pozostał w domu i aż do powrotu żony spacerował po ogrodzie, starając się zrozumieć, co się z nią dzieje. Czuł przytem jakiś ustawiczny strach i gniew i ból nieskreślonych podejrzeń. Nieraz zachodził do pawilonu, lecz Muciusz nie powracał, a malajczyk spoglądał na niego jak bałwan, z bezmyślnie opuszczoną głową i głęboko — jak się zdawało Fabiuszowi— utajonym uśmiechem na bronzowej twarzy.

Tymczasem Walerja na spowiedzi opowiadała wszystko swojemu duchownemu ojcu, nie tyle się żenując, co obawiając. Zakonnik słuchał jej z uwagą, błogosławił, — odpuścił mimowolny grzech a samemu sobie powiedział: czarnoksięstwo, czary szatańskie, — tego tak pozostawić nie mogę. — I razem z Walerją udał się do jej willi, jakby dla ostatecznego jej uspokojenia i pocieszenia. Na widok zakonnika Fabiusz zatrwożył się nieco, lecz rozważny starzec wcześniej pomyślał, jak mu należało postąpić. — Pozostawszy sam na sam z Fabiuszem, rozumie się nie wydał tajemnicy spowiedzi, jednakże doradzał, jeżeli można wydalenie z domu zaproszonego gościa, który swojemi opowiadaniami, pieśniami i całem postępowaniem, rozstrajał wyobraźnię Walerji. Oprócz tego, jak mniemał starzec, Muciusz i dawniej nie zbyt doskonałym był w wierze, a przebywając tak długi czas w krajach nieoświeconych prawdami chrześcjanizmu, mógł przywieźć ztamtąd zarazę kłamliwych nauk, mógł nawet poznać tajemnicę magji; dlatego więc, chociaż stara przyjaźń miała swoje prawa, jednakże rozsądna ostrożność nakazywała konieczność rozłączenia. — Fabiusz w zupełności podzielał myśli zacnego zakonnika; Walerja nawet rozjaśniła twarz, kiedy mąż zakomunikował jej radę księdza. Opatrzony na drogę najlepszemi życzeniami obojga małżonków, a także bogatemi podarunkami dla klasztoru i ubogich, ojciec Lorenzo powrócił do klasztoru. — Fabiusz miał zamiar natychmiast po kolacji rozmówić się z Muciuszem, lecz dziwny jego gość na kolację nie powrócił. — Wówczas postanowił niemiłą rozmowę odłożyć do następnego dnia.

### IX.

Walerja zasnęła natychmiast, lecz Fabiuszowi sen nie kleił powiek. — W ciszy nocy żywiej przedstawiało mu się wszystko, czego doświadczył i nad czem rozmyślał. — Z większą jeszcze niecierpliwością zadawał sobie pytania, na które nie miał żadnej odpowiedzi. Czyżby rzeczywiście Muciusz zostawał czarnoksiężnikiem?.. i czy nie zatruł on czem Walerji? Ona jest słabą; lecz co to za słabość?..—Kiedy tak podparłszy głowę ręką oddawał się swoim rozmyślaniom, księżyc wszedł na bezchmurnem niebie, a wraz z jego promieniami przez na pół przeźroczyste szyby okien, od strony pawilonu — tak mu się przynajmniej zdawało, poczuł jakiś lekki aromatyczny prąd wiatru i usłyszał bezczelny, namiętny szept... w tejże chwili zauważył, że Walerja zaczyna się słabo poruszać. Podniósł się i patrzy; ona także podniosła się, opuściła najpierw jedną nogę z łóżka, po chwili drugą — i jak lunatyczka, bez życia, z oczami skierowanemi w jeden punkt, z wyciągniętemi rękami zbliżała się do drzwi ogrodowych!.. Fabiusz w sekundzie poskoczył do drugich drzwi i pośpiesznie przebiegłszy róg domu, zamknął drzwi wiodące do ogrodu.—Zaledwie zdążył to wykonać, gdy poczuł, że ktoś sili się otworzyć je zewnątrz, naciska i porusza klamką, — wreszcie posłyszał szybkie stąpanie.

«Lecz przecież Muciusz nie powrócił z miasta,» pomyślał i pobiegł ku pawilonowi. — Cóż zobaczył!..

Naprzeciw niego, drogą jasno oświetloną promieniami księżyca, szedł Muciusz, także jak lunatyk, także z wyciągniętemi przed siebie rękami i bez życia otwartemi oczami. — Fabiusz pobiegł ku niemu, lecz ten nie spostrzegając go, idzie wolno krok za krokiem, a na nieruchomej jego twarzy, znać przy blasku księżyca uśmiech zupełnie jak u malajczyka. — Fabiusz chce wołać na niego po imieniu, lecz w tejże chwili słyszy, że w jego willi rozbija ktoś szyby... Ogląda się.

Rzeczywiście; okno sypialni z trzaskiem roztworzyło się całe, a w niem stoi Walerja..... ręce jej jak gdyby poszukują Muciusza, cała nagina się w jego stronę...

Niewypowiedziana wściekłość zawrzała w piersi Fabiusza.— «Przeklęty czarowniku!» wykrzyknął i schwyciwszy Muciusza jedną ręką za gardło, drugą wyciągnął kindżał z jego pasa i po samą

rękojeść wepchnął ostrze w lewy jego bok. — Przeraźliwie krzyknął Muciusz i przycisnąwszy ranę dłonią, biegł potykając się ku pawilonowi. W tej samej chwili, kiedy go ranił, przeraźliwszym jeszcze głosem krzyknęła Walerja i z okna jak podcięta kosą upadła na ziemię. Fabiusz pobiegł do niej, — podniósł ją, zaniósł do łóżka, przemawiał do niej.....

Długo leżała nieruchoma; otworzyła wreszcie oczy, westchnęła głęboko, ciężko, choć radośnie, jak człowiek wybawiony od niechybnej śmierci — popatrzyła na męża i obwinąwszy jego szyję rękami przycisnęła się do jego piersi. — «To ty?.. to ty jesteś?..» — szeptała. Za chwilę siły ją opuściły, głowa opadła i wyszeptawszy z rozkosznym uśmiechem: «Dzięki Bogu, wszystko skończone... lecz jaka ja zmęczona!» — zasnęła mocnym, lecz nie ciężkim snem.

## X.

—Fabiusz ukląkł około jej łoża i nie spuszczając oczu z jej bladej, mizernej, lecz już uspokojonej twarzy, rozmyślał o tem co się stało, a—także jak mu teraz postąpić należy.—Co począć? Jeżeli zabił Muciusza, — a na wspomnienie jak głęboko ostrze kindżała weszło w jego ciało nie mógł o tem wątpić— jeżeli zabił Muciusza, bo niepodobna tego ukrywać! Trzeba dać znać księdzu, sądom. Lecz jak wytłomaczyć, jak opowiedzieć ten niepojęty wypadek? W własnym domu zabił swojego kuzyna, swojego najlepszego przyjaciela. — Będą zapytywać, za co? z jakiego powodu?.. A jeżeli Muciusz nie zabity? — Nie miał sił pozostawać dłużej w wątpliwości; przekonawszy się, że Walerja śpi, ostrożnie powstał, wyszedł z domu i udał się ku pawilonowi. Cisza była głęboka; tylko w jednem oknie świeciło się. Z bijącem sercem otworzył zewnętrzne drzwi, na których rozeznał ślady pokrwawionych palców; — i poprzednio już, na białym piasku ścieżki widział czerniące się duże krople krwi; przeszedł pierwszy ciemny pokój i powstrzymał się na progu przerażony, zdumiony. — Na środku pokoju, na perskim dywanie, z poduszką ze złotogłowia pod głową, przykryty szerokim czerwonym szalem w czarne pasy, leżał ze sztywnie wyciągniętemi członkami Muciusz. Twarz jego była żółta jak wosk, zamknięte oczy, posiniałe powieki, nie znać było oddechu; — wyglądał jak trup. Przy nogach jego, także odziany w czerwony szal, klęczał malajczyk. Trzymał on w lewej ręce gałązkę nieznanej rośliny podobnej do paproci i pochylony cokolwiek, nieustannie patrzył na swojego pana. — Mała pochodnia wetknięta w podłogę paliła się zielonawym płomieniem, oświecając pokój. Płomień nie drgał i nie wydawał dymu. Malajczyk ani się poruszył przy wejściu Fabiusza, rzucił tylko oczami na niego i natychmiast zanurzył je w twarzy Muciusza. Od czasu do czasu podnosił i opuszczał gałązkę, potrząsając nią w powietrzu. — Nieme jego usta wolno otwierały się i poruszały jak gdyby wypowiadał jakieś bezdźwięczne wyrazy. —Pomiędzy malajczykiem a Muciuszem leżał na ziemi kindżał, którym Fabiusz ranił swego przyjaciela; malajczyk raz uderzył gałązką po skrwawionem ostrzu. — Minęła minuta... druga... Fabiusz zbliżył się do malajczyka i nachyliwszy się ku niemu przemówił półgłosem: umarł? Malajczyk pochylił głowę, a wyswobodziwszy z pod szala prawą swoją rękę, wskazał rozkazująco drzwi. Fabiusz chciał powtórzyć swoje pytanie, lecz rozkazująca dłoń wznowiła swój ruch — wyszedł więc, niepewny, niezadowolony, lecz posłuszny. Walerję zastał śpiącą z jeszcze bardziej uspokojoną twarzą. Nie rozbierając się usiadł przy oknie podparty dłonią i znów pogrążył się w myślach. Wschodzące słońce zastało go na tem samem miejscu. Walerja nie obudziła się.

## XI.

Fabiusz pragnął doczekać się jej obudzenia i wyjechać do Ferrary, gdy ktoś wtem lekko zastukał do drzwi sypialni. Fabiusz wyszedł i zobaczył swojego starego domownika Antoniusza. «Signor, — rozpoczął staruszek, malajczyk nam w tej chwili dał znać, że Signor Muciusz zasłabł i życzy sobie dziś jeszcze, ze wszystkiemi swojemi rzeczami przenieść się do miasta; dlatego prosi, ażeby przysłać ludzi do pakowania rzeczy, a około południa konie i kilku przewodników. Czy Signor pozwoli?» — Jak to, malajczyk ci to powiedział? zapytał Fabiusz, — wszakże on niemy?.. — Oto papier, na którym napisał to wszystko po włosku, — bardzo dobrze pisze. — I Muciusz powiadasz chory?..— Tak jest; bardzo chory i widzieć go nie wolno.—Po lekarza posłano?—Nie; malajczyk nie pozwolił. — A to napisał ten malajczyk? — Tak! — Fabiusz milczał. — No cóż, rozporządź co trzeba, — wyrzekł wreszcie. Antoniusz wyszedł. Z niepokojem patrzył za swoim sługą. Widocznie nie zabity... pomyślał i sam nie wiedział, cieszyć się z tego czy smucić. Chory?... lecz parę godzin temu patrzył na niego jak na trupa!..

Fabiusz powrócił do Walerji. Obudziła się i podniosła głowę. Małżonkowie zamienili długie wymowne spojrzenie. Niema go już? — przemówiła Walerja... Fabiusz zadrżał...

— Jak to niema... czy by?

— On wyjechał już? zapytała.

— Nie jeszcze; lecz wyjedzie dzisiaj.

— I ja go już więcej nigdy, nigdy nie zobaczę?

— Nigdy.

— I te sny się nie powtórzą?

— Nie.

Walerja z radością odetchnęła, uśmiech zadowolenia pojawił się na jej ustach; wyciągnęła obie ręce do męża.

— I nie będziemy nigdy o nim rozmawiać, nigdy, — słyszysz mój najdroższy? Ja nie wyjdę z pokoju, dopóki on nie wyjedzie; a teraz przyślij mi służące..... ale pozwól: weź to odemnie... Wskazała perłowy naszyjnik leżący na stoliku koło łóżka, naszyjnik który dostała od Muciusza, — weź to i rzuć natychmiast na dno studni. Uściskaj mnie, jam twoja Walerja, — i nie przychodź póki on nie wyjedzie.

Fabiusz wziął do rąk naszyjnik; perły straciły swój blask, ochoczo spełnił żądanie żony. Później przechadzał się po ogrodzie, zdala spoglądając na pawilon, koło którego rzeczywiście pakowano rzeczy. Ludzie wynosili kufry, siodłali konie, lecz malajczyka nie było między nimi.

Niepohamowana ciekawość wiodła Fabiusza jeszcze raz zobaczyć co się działo w pawilonie. Przypomniał sobie, że od tyłu były skryte dzwi, któremi można było wejść do tego pokoju, gdzie rano leżał Muciusz. Zakradłszy się niespostrzeżony znalazł je otwartami, podniósłszy ciężką kotarę, rzucił przeszywający wzrok.

## XII.

Muciusz już nie leżał na dywanie. W podróżnem ubraniu siedział w krześle blady jak trup, zupełnie jak podczas pierwszej wizyty Fabiusza. Ociężałą głowę wsparł na poręczy krzesła, złożone ręce nieruchomo obwisły na kolanach. Pierś się nie podnosiła. Około krzesła, na podłodze zarzuconej zasuszonemi roślinami, stało kilka płaskich miseczek z ciemną cieczą, wydającą silny, prawie duszący zapach muszkatu. Naokoło każdej miseczki leżały zwinięte, czasami błyskające złocistemi ślepkami,— nieduże węże miedzianego koloru; naprzeciw Muciusza, o dwa kroki od niego, stał malajczyk ubrany w złocisty płaszcz, przepasany ogonem tygrysa, w wysokiej czapce, na kształt tiary na głowie. Nie stał on nieruchomo; to głęboko pochylał się jakby do modlitwy,

to znów, wyprostowywał się stając na palcach; szeroko rozkładał ręce, rzucał niemi w kierunku Muciusza i zdawało się groził, czy rozkazywał, bo chmurzył brwi i tupał nogą. Wszystkie te rzeczy widocznie kosztowały go wiele trudu; oddychał ciężko, pot lał się z jego twarzy. Na chwilę stanął bez ruchu i nabrawszy w płuca powietrza, podniósłszy głowę wyprężył się i zrobił ruch ku sobie zaciśniętemi rękami, zupełnie jak gdyby lejce w nich trzymał. Ku niewymownemu przestrachowi Fabiusza, głowa Muciusza wolno podniola się po nad poręcz krzesła i skierowała się ku rękom malajczyka. Gdy ten opuścił dłonie, głowa Muciusza ciężko upadła na poręcz; malajczyk powtarzał swoje ruchy i posłuszna głowa powtarzała je także. Ciemna ciecz w miseczkach zagotowała się, miseczki wydały cienki przenikliwy dźwięk a miedziane węże poruszyły się około każdej. Wówczas malajczyk postąpił krok naprzód, wysoko podniósł brwi, rozszerzył ogromnie oczy i kiwnął głową na Muciusza — powieki jego poruszyły się, nierówno podniosły, a z pod nich ukazały się ciemne ołowiane źrenice. Dumą, tryumfem, radością, — radością przerażającą zabłysła twarz malajczyka; szeroko otworzył usta i z głębi krtani z wysiłkiem wydał krzyk, do wycia raczej podobny... Usta Muciusza otwarły się także i słaby dźwięk zadrżał na nich w odpowiedzi na jego nieludzki głos. Tego już Fabiusz wytrzymać nie zdołał, zdawało mu się, że jest obecnym na jakichś djabelskich zaklęciach. On także krzyknął i pobiegł nie oglądając się ku domowi, żegnając się po drodze i szepcząc modlitwę.

### XIII.

W trzy godziny później, Antoniusz przyszedł do niego z doniesieniem, że wszystko już gotowe, rzeczy ułożone; a signor Muciusz wybiera się do odjazdu. Ani słowa nie odpowiedziawszy swojemu słudze, Fabiusz wyszedł na taras, z którego widać było pawilon. Kilka zaprzęgowych koni stało przed nim, pod same skrzydło był przyprowadzony silny kary źrebiec z szerokiem siodłem przygotowanem dla dwóch jeźdźców. Stali tam także służący z odkrytemi głowami i uzbrojeni przewodnicy. Drzwi się otwarły i podtrzymywany przez malajczyka, ubranego już w zwykłą odzież wyszedł Muciusz. Twarz jego była martwą a ręce wisiały bezwładnie, lecz poruszał nogami! Posadzony na konia trzymał się dosyć prosto. Malajczyk podał mu strzemiona, sam wskoczył za nim na siodło, ujął go w pół, i cały pochód ruszył. Konie szły wolno; a kiedy skręcali koło willi, Fabiuszowi się zdawało, że na ogorzałej twarzy Muciusza zabłysły dwie białe kropelki... Czyżby ku niemu zwracał swoje oczy?.. Tylko malajczyk mu się ukłonił, ze złośliwym uśmiechem, jak zwykle.

Czy Walerja widziała to wszystko? Żaluzje w jej oknach były zapuszczone... może stała za żaluzjami...

### XIV.

Na obiad przyszła do jadalni; była milcząca, cicha; uskarżała się na zmęczenie, lecz ani trwogi nie znać było w niej, ani poprzedniego pomięszania i przestrachu. Kiedy na drugi dzień po odjeździe Muciusza, Fabiusz zabrał się do malowania jej portretu, znalazł już w jej rysach ów czysty wyraz, którego chwilowe zaćmienie tak go martwiło, pędzel biegł po płótnie lekko i trafnie.

Małżonkowie odżyli dawniejszem życiem. Muciusz znikł dla nich, jak gdyby nigdy nie istniał. Umówili się nie wspominać o nim nigdy, nie dowiadywać się o jego późniejszych kolejach życia, to też na zawsze pozostały one dla nich tajemnicą.

Muciusz rzeczywiście znikł; jak gdyby zapadł się w głąb ziemi. Zdawało się pewnego razu Fabiuszowi, że powinien opowiedzieć Walerji wrażenia tej pamiętnej nocy... ona prawdopodobnie odgadła jego zamiar, zaparła oddech, zamknęła oczy, jak w oczekiwaniu na straszny cios... Fabiusz ją zrozumiał i ciosu tego oszczędził.

Pewnego pięknego jesiennego dnia, Fabiusz kończył właśnie obraz swojej świętej Cecylji, Walerja siedziała przy organkach, machinalnie uderzając po klawiszach... Nagle, mimo jej woli z pod palców jej rozległa się ta pieśń zwycięzkiej miłości, którą niegdyś grał Muciusz — i w tejże chwili, pierwszy raz po ślubie, poczuła w sobie drgnienie nowego, rodzącego się życia...

— Cóż to miało znaczyć?.. Czyż by?....

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Na tych wyrazach kończył się rękopis.

---

## Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

Ciągła posucha i upały nie ustają — mieliśmy znowu po 28°. Woda na Wiśle bardzo mała, a Bug prawie wysechł; statki jadące tą rzeką posiadały na piasku. Kom. spraw wewn. wysłała p. Metzla, biegłego w naukach hidraulicznych, aby tenże pospuszczał stawy, jeziora i inne porobił rozporządzenia w celu podniesienia wody na Bugu — lecz wszystko okazało się na próżno. Bardzo wielu choruje i umiera na dysenterją — zjawiła się też krosta morowa z bydła pochodząca, która w przeciągu dwóch dni do grobu wprowadza, jeźli wcześnego nie ma ratunku. Szarańcza zrządziwszy klęski w wtwie Podlaskiem, nierównie większe w Kaliskiem rozpościera.

Obrachowane koszta pogrzebu ś. p. cesarza wynoszą 280,000 złp., rachując w to i 10.000 złp. przeznaczonych na wydanie dzieła, opisującego ten obchód z rycinami. Dzieło to wyjść ma przy końcu tego roku.

**Sierpień.** Ubolewać dosyć nie można nad smutnem położeniem obywateli wtwa kaliskiego — ciągłe udręcenia i cierpienia moralne od lat kilku są ich udziałem; przyznać też należy, iż sami sobie szkodzą, nie umiejąc się zmiarkować, upamiętać i mieć wzgląd na czasy teraźniejsze i okoliczności im towarzyszące. Przed trzema miesiącami, mimo całej baczności rządu, potrafili przesłać do cesarza prożbę za Wincentym Niemojewskim, aby powrócił do względów N. Pana, aby był uwolniony z pod obserwacji policyjnej itd., Cesarz oświadczył nieukontentowanie swoje, zalecił dać napomnienie, .jakoż wola ta była objawiona w dzienniku wdzkim, z wydrukowaniem imiennej listy 150 obywateli, którzy powyższe przedstawienie do cesarza podać śmieli. Z powodu zamięszania szkolnego, wybicia okien u rektora i profesorów, szkoły z Kalisza do Piotrkowa będą przeniesione.—Nie dosyć na tem — jadący do wód jen. Siemiątkowski z żoną stanął w hotelu w Kaliszu; obok jego mieszkania, kilku obywateli przy nocnej porze ochoczo się zabawiali. Jenerał posłał do nich z prożbą, aby się uciszyli i mieli wzgląd na słabą żonę. Odpowiedziano mu, iż w oberży każdy jest panem swej woli i czynności. Wnet wchodzi i sam Siem. ponawiając przełożenie, — podobnaż odpowiedź, a od słowa do słowa przyszło do gróźb i wyzwania go na pojedynek. Czy to sam jenerał, czy też kto inny uczynił, dosyć, że się to wszystko doniosło do W. Ks., który natychmiast tych panów (Bonaw. Niemojewski, dwóch Gurowskich, Ordęga i . . . . . ) kazał dostawić do Warszawy i pod sąd tutejszy kryminalny poddał.

Osobliwy i pierwszy tego rodzaju widok zajmował temi dniami na chwilę mieszkańców Warszawy. Do młyna Towarzystwa wyrobów zbożowych, z fabryki Ewansa wieziono dwa ogromne kotły parowe. Po 10 koni ciągnęło te narzędzia na kilkanaście łokci długie i do 6 wysokie. Niewiadomo kiedy młyn zacznie być w ruchu, a tem bardziej przyszłość jest osłoniona jaki skutek uwieńczy usiłowania stowarzyszonych — podług wyrachowania na papierze zyski są niezawodne, nawet oznaczone.

Dnia 4 odbył się uroczysty obrzęd wprowadzenia obrazu *Anioła z Akry* kapucyna. Rozpoczął się obrzęd w kościele Bernardynów, gdzie odczytano wyrok Leona XII. policzający Anioła w rząd błogosławionych. Poczem przy licznej procesji zaniesiono obraz do kościoła Kapucynów i rozpoczęto nabożeństwo, które trzy dni trwać będzie.

Gazeta Petersb. donosi, iż cesarz wyznaczył czterech senatorów, którzy się udadzą do Warszawy. Niewiadome jest nam ich przeznaczenie, zdaje się jednak, iż zjadą dla porozumienia się z sądem sejmowym, co do obwinionych Polaków z prowincyj pod rządem ros. zostających.

W tych dniach księżna Łowicka przysłała 100 duk. do Tow. Dobr. z przeznaczeniem na zupę rumfortską. Na centralnem zebraniu się członków, uchwalono złożyć dzięki księżnie, jakoż Niemcewicz prezydujący napisał natychmiast na temże posiedzeniu, następujące wynurzenie wdzięczności: «Towarz. Dobr. odebrawszy «od JO. ks. JM. Łowickiej sumę 100 duk. w złocie na rzecz ubo«gich żywiących się w domu Towarz. zupą rumfortską, znajduje «w tym czynie nowy dowód tej dobroci, tych uczuć ludzkości, «któremi nieba znakomitą tę panią tak hojnie obdarzyć raczyły. «W imieniu więc wielu i wielu nieszczęśliwych Tow. Dobr. składa «winne JO. księżnie podziękowanie, łącząc do nich najgorętsze do «Boga modły, aby dla przykładu cnót wszystkich i dobra ludz«kości panią tę w najczerstwiejszem zdrowiu, do najpóźniejszych « at zachować raczył.» Dan na sesji Tow. Dobr. 7 sierpnia 1827 r. (podp.) J. U Niemcewicz.

Wiadomo, iż Nowachowicz za monopol trunków płaci rządowi 4.700.000 złp. rocznie — Warszawa i obwód na ¾ mili rozciąga się. Ks. Lubecki dla powiększenia dochodu, bez względu na ucisk i klęski obywateli, umyślił rozszerzyć ten zakres na 2 mile w około stolicy i projekt ten podał na radę adm. Król.— Referendarz Hube miał sobie powierzone rozebranie na piśmie tego projektu, jakoż w kilkunastu artykułach wykazał szkodliwość monopolium, doradzał łagodniejszy sposób zaprowadzenia natomiast ogólnego małego podatku, miał nawet oświadczyć, iż suma jaką płaci administrator, nie wpływa zupełnie do skarbu itd., słowem, referat ten mocno i gruntownie jest napisany i mimo całego oburzenia się ks. Lubeckiego, ma być zakomunikowany cesarzowi.

W. Książe zapadł powtórnie na dyarję i mocno jest chory: zdaje się, iż nie chce, aby o tem wiedziano, gdyż co dzień stoi w rozkazie do wojska, iż przybędzie na paradę, gdy zaś zbliża się ta pora, przysyła żeby na niego nie czekano i jakoż od dni kilku nie wyjeżdża.

Gazety tutejsze umieściły wyjątek listu pewnego Polaka, bawiącego w Rzymie. Donosi, iż w połowie lipca rzeźbiarz Thorwaldsen przesłał do Warszawy posąg Kopernika. — Pomnik zaś Xcia Józefa blizki jest ukończenia i niezawodnie na przyszłą wiosnę przesłany będzie.

Dnia 22 odbyła się na Polu Marsowem uroczystość poświęcenia dwóch standarów przeznaczonych dla pułku strzelców konnych gwardji. — W. Ks. przybrany w mundur polski był obecny. — Słychać, iż i inne pułki konne otrzymają podobne znaki.

Gazeta Hamburska donosi nam z wszelką pewnością to, czego u nas bynajmiej nie słychać. I tak, zapowiada we wrześniu przybycie naszego monarchy i jego koronacją, oraz zjazd ces. austrjackiego, króla pruskiego i innych książąt. — Listy z Petersburga w tych dniach nadeszłe wzmiankują wprawdzie, iż cesarz może w jesieni zjedzie do Warszawy.

Dnia 26 wyjechał W. Ks. na dni kilka do Kowna.

**Wrzesień.** Dnia 1 W. Książe powrócił.

Dnia 3 obchodziliśmy rocznicę koronacji Naj. Pana.

Dnia 4 i 5 odbywały się wielkie obroty wojskowe, na które ściągnęły 4 pułki strzelców konnych i artyllerja konna. Jedną częścią wojska dowodził W. Ks. i pierwszego dnia był pokonany; drugą zaś częścią jen. jazdy Rożniecki i był przez W. Księcia dnia następnego zwyciężony.

Dnia 5 na dziedzińcu nowej mennicy spalono wylosowanych i spłaconych listów zastawnych za kilka miljonów złp., w piecu żelaznym umyślnie na ten cel sporządzonym.

Od trzech tygodni przybył tu powtórnie Maurokordato, książe grecki, i przywiózł dwóch synów do szkoły wojskowej, tak zwanej applikacyjnej. Roku bieżącego z tejże szkoły awansował jego syn przed trzema laty przybyły, do gwardji artyllerji kon. ros. na oficera.

Dnia 6 przybyło z Petersburga dwóch senatorów, z tych książe Trubecki jest oraz jener. adjutantem, Wasilczykow zaś radcą tajnym i koniuszym ICM.

Dnia 8 przybył trzeci senator ros. jenerał Stawicki.

Dnia 10 odbyły się znowu wielkie obroty wojskowe. W. Ks. jest nader zadowolony, w rozkazie dziennym oddaje wielkie pochwały, osobliwie jest kontent z pułków szaserskich. W jednym z rozkazów dziennych wyraził, iż lubo widział w Europie tyle broni szaserskiej, jednak żołnierz polski dobrą postawą, siedzeniem na koniu, zręcznem użyciem pałasza, przewyższa to wszystko cokolwiek dotąd widział.

Przywieziono z Petersburga ks. Antoniego Jabłonowskiego i Wiktora Ossolińskiego. Tego ostatniego widziano w przejeździe przez miasto, iż miał zapuszczoną brodę. Okazuje się, iż senatorowie ros. zjechali tu dla wspólnej narady.

W tych dniach przybyli: senator Sumoroków, radca tajny, i Kajsarow ober - prokuror Rządzącego senatu. Zwożą tu ciągle z Petersburga obwinionych Polaków z prowincyj do Rosji należących. Wszyscy mają zapuszczon ebrody i każdy z osobna wieziony jest pod strażą trzech żołnierzy; przynajmniej, że nie mają łańcuszków na nogach, jak to ich ztąd do Petersburga przed kilku miesiącami odsyłano.

Dnia 13 wojsko stojące w obozie, rozeszło się na zimowe leże. Przed paru tygodniami ściągnięte pułki strzelców konnych, pozostały jeszcze na dni kilka dla manewrów.

Dnia 19 odbyło się otwarcie uniwersytetu. Rektor zdawał sprawę z rocznych czynności, poczem prof. Jarocki czytał rozprawę o pająku, a magister legens Hube o prawie kryminalnem. Na tem posiedzeniu znajdował się senator Sumoroków, człowiek

wśiatły i uczony, jakoteż i Nowosilcow w mundurze kuratora Uniw. Wileń. Był to rzadki fenomen w swoim rodzaju, gdyż po raz pierwszy raczył swoją obecnością zaszczycić ten obchód, a co więcej po ukończeniu onego, wraz z ministrem ośw. i wspomnionym senatorem zwiedził gabinet zoologiczny.

Dnia 20 odprawił się w Wilanowie obrzęd przeniesienia zwłok Ignacego i Stanisława Potockich, z kościoła tamecznego do nowo ukończonej kaplicy w guście gotyckim, mającej służyć na groby familijne. — Celebrował biskup krakowski Woronicz.— Zjazd był nadzwyczaj liczny, znajdowało się kilkunastu senatorów, kilku radców stanu i innych wyższych urzędników. Trumny niesione były przez młodzież, uwielbiającą zasługi tych znakomitych mężów. Przed kaplicą miał mowę biskup krakowski, słuchano w głębokiem milczeniu i z natężeniem uwagi, gdyż spodziewano się z ust tak uczonego kapłana i przyjaciela zmarłych braci, stosownej przemowy i w guście krasomowskim, lecz tą razą zawiedziono się w oczekiwaniu — wiek mówiącego i okoliczności czasowe, niemały zapewne wpływ i udział w tem miały.

W tych dniach ks. Mar. Rudziński, proboszcz Kociszewski, przesłał na pocztę do W. Ks. pismo dwuarkuszowe, z podpisem na kopercie: Jaśnie Oświeconemu W. Ks. Konstantemu. W prostych i nieokrzesanych wyrazach, w stylu popularnym, jak gdyby do sobie równego, wyłuszcza swe ukrzywdzenie, że mu część parafji Augsburskiego wyznania oderwano i przyłączono bez jego opowiedzenia się i zezwolenia do innej parafji, a ztąd że mu dochód uszczuplono. Ztąd zażalenia na komisją rzdwą ośw., tych zaś co to uskutecznili zowie: farmasonami, łajdakami, zbójcami, złodziejami; podobne wyrażenia dwukrotnie nawet powtarza. Prośbę tę kancellarja W. Ks. odesłała do kom. ośw., żądając wyjaśnienia rzeczy.

Dnia 27 przybył tu z Petersburga gońcem jenerał adjutant hr. Orłów, z doniesieniem, iż cesarzowa z dnia 20 na 21 b. m. powiła syna, któremu dano na imię Konstanty.

W sprawie obwinionych o występki polityczne, nic a nic dowiedzieć się nie możemy. W Łazienkach mają się podobno odbywać konfrontacje, gdzie są osadzeni przywiezieni z Petersburga.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

## *Ruch muzyczny.*

W ostatnim numerze podaliśmy ocenę z dwóch koncertów danych przez p. Ondrziczka, skrzypka, ze współudziałem członków opery pragskiej. Koncertanci po powrocie ze Lwowa urządzili u nas jeszcze trzeci i ostatni koncert w piątek dnia 22 września w teatrze letnim. P. Ondrziczek wykonał na tym wieczorze tak zwane „pieśni węgierskie“ Ernsta a na zakończenie „taniec czarownic“ Paganiniego. Ten ostatni utwór odpowiada dziwnej swej nazwie; mamy tu nagromadzone oktawy i interwale olbrzymio trudne, pasaże tercjowe itp. Wykonanie było wyborne.

O innych biorących udział w tym koncercie artystach w ostatniem sprawozdaniu nadmieniliśmy.

Dzięki niezmordowanym staraniom wydziału i członków komisji muzycznej Towarzystwa weteranów wojskowych, *posiada już dziś Kraków własną cywilną orkiestrę.* W dniu 30 września b. r. jako w dniu pierwszego przedstawienia w sezonie zimowym, odbyła ta kapela swój chrzest publiczny przed licznie zgromadzoną publicznością. Z przyjemnością tu notujemy, iż orkiestra ta nowa na oklaski, jakich jej po wykonaniu każdego numeru udzielano, rzetelnie zasłużyła. Szczególniej podnieść musimy dobre wykonanie uwertury z „zamku na Czorsztynie“ Kurpińskiego i „serenady weneckiej“ Keler Beli. Nawet i niemuzykalni widzieli różnicę pomiędzy tą orkiestrą, a grywającą w ostatnich dniach w teatrze letnim orkiestrą 13 pułku. Zadaniem orkiestry cywilnej, prócz wykonywania najnowszych dzieł muzycznych różnych autorów, powinno być także, na co główny nacisk kładziemy — wykonywanie dzieł polskich kompozytorów, a tym sposobem zapoznawanie z niemi szerszej publiczności, tak w teatrze, jak i na koncertach. Od wojskowych kapel tego żądać nie możemy, ale od własnej, polskiej koniecznie. Wszak mamy tyle dzieł pięknych Moniuszki, Żeleńskiego, Noskowskiego, a ze starszych Kurpińskiego, Elsnera i wiele innych.

Do dramatu odegranego w sobotę i w niedzielę p. t. „Stara Baśń“ dorobił muzykę do kilku ustępów p. M. Ziemski. Słaba obsada chórów w tutejszym teatrze wpłynęła na to, że i lepsze numera nie zrobiły wrażenia; szczególniej słabo obsadzone były głosy żeńskie. W piosnce „Hej Polanie!“ śpiewak rozminął się z taktem. Mamy atoli nadzieję, iż będzie zczasem lepiej.

**Maurycy Sieber.**

## *TEATR.*

Stary nasz, a obdarzony nowemi mostami, żelazną kurtyną i imitacją odrestaurowania gmach teatralny — obchodził swoją inaugurację „Starą baśnią“ Kraszewskiego, przerobioną na dramat przez A.....dis. Powieść zbyt jest znaną, ażebyśmy potrzebowali treść jej podawać. Z przedstawienia zaś z przykrością przychodzi nam przypomnieć, że zadaniem teatru jest wykształcenie smaku publiczności, — tymczasem w przerobionym dramacie znikło prawie wszystko, co pod estetycznym względem stanowi wartość powieści. Urocze i barwne opisy natury, obrządków, ów miły legendowy nastrój, jakiego się doznaje czytając powieść Kraszewskiego, skarykaturowano i sparodjowano, chociaż nie z winy aktorów, gdyż ci z przykładnością godną lepszej sprawy czynili wszystko dla powodzenia sztuki.

Przed dwoma niespełna laty grano na naszej scenie identyczną prawie z „Baśnią“ tragedję M. Romanowskiego „Popiel i Piast.“ Tragedja ta chociaż z pewnemi brakami, była przecież arcydziełem formy i treści w porównaniu z przeróbką Adisa. Pełna wzniosłych i poetycznych myśli, alluzyj politycznych i społecznych, prawdziwie dramatycznego elementu i charakterów kreślonych z męzką siłą—nie zdołała się jednak utrzymać na scenie. — Wystawieniem jej wszakże teatr stanął na wysokości sztuki, zaś wystawieniem „Baśni“ znalazł się na poziomie sztuczek, na punkcie obniżania wymagań piękna.

W tragedii Romanowskiego widzimy obraz rządów Popiela okrutnych, przewrotnych, a słabych; mający mimo intuicyjnych tylko rysów wiele rzeczywistej psychicznej prawdy, gdy tymczasem w przeróbce Starej baśni, powychodziły postacie z rysami grubemi, forsownie naprężonemi, a przez to nieprawdopodobnemi.

Taka n. p. Jarucha śpiewająca piosnki nic wspólnego z treścią sztuki nie mające, jest poprostu figurą do jakiejś fantastycznej panoramy lub operetki, a znów Znosek, ucharakteryzowany na obraz i podobieństwo dromadera, używany przez przebiegłą niemkę Brunhildę jako narzędzie w jej zamiarach, chociaż niby i dziki i chytry i podstępnie szpiegujący, jest tylko śmiesznym. Dodawszy do tego wałęsające się bez istotnej potrzeby komicznie poubierane figury statystów, w filcowych butach na głowach, lub arcykapłana w papierowym kaszkiecie, mimowoli przychodzi ochota zapytać się: co skłoniło dyrekcję do uraczenia nas taką szopką, na której publiczność śmieje się tam, gdzie autor ją wzruszyć usiłuje.

Z.



**Do tego Nru dołącza się rysunek T. Rybkowskiego: A! a! kotki dwa!**

**Nr. niniejszy jest ostatnim, jaki przesyłamy tym prenumeratorom, co dotąd za bieżący kwartał przepłaty nie złożyli.**



Modlnica 28/8 1882
Rybkowski

„A! a! kotki dwa.....”

Rysunek T. Rybkowskiego.